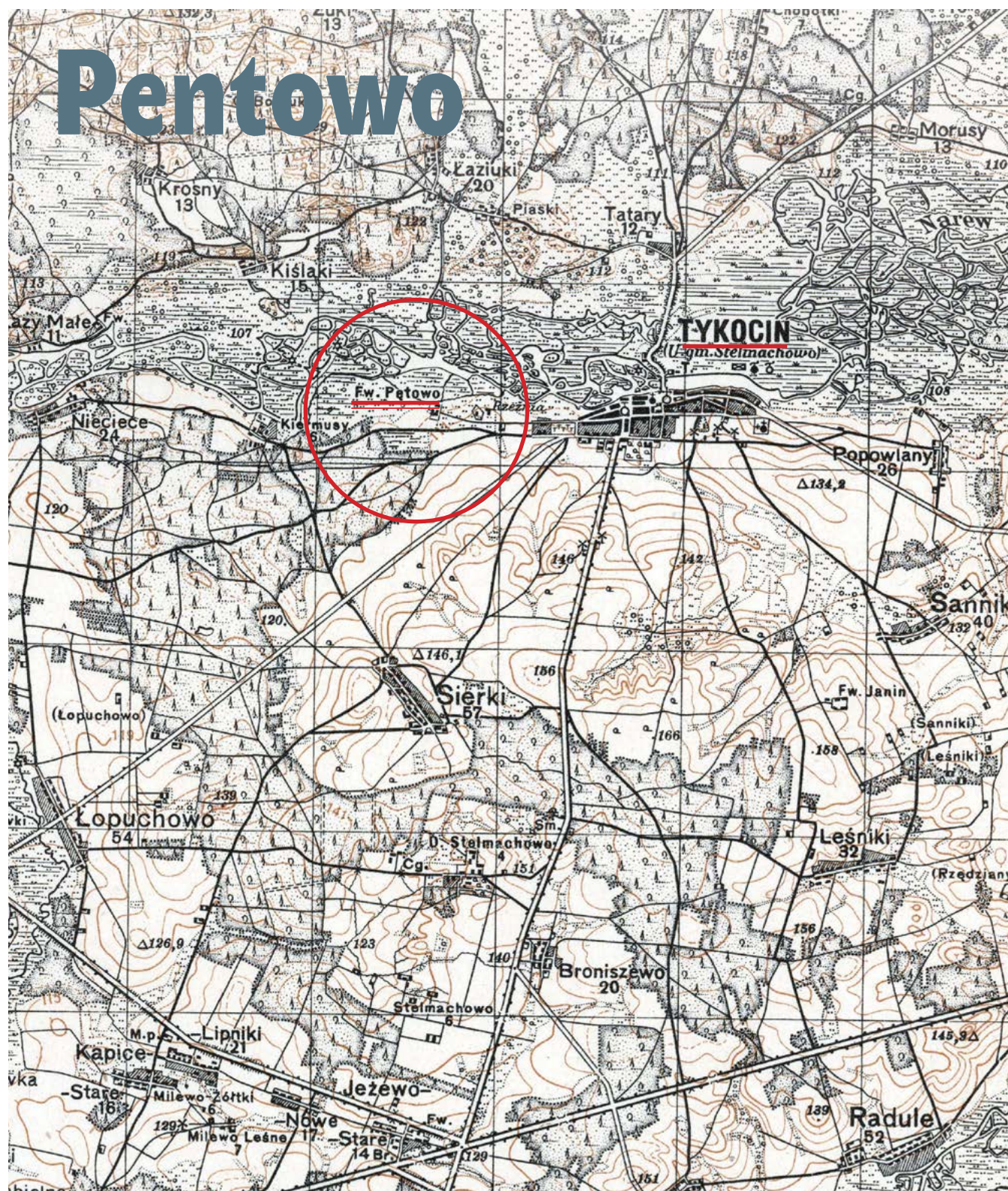
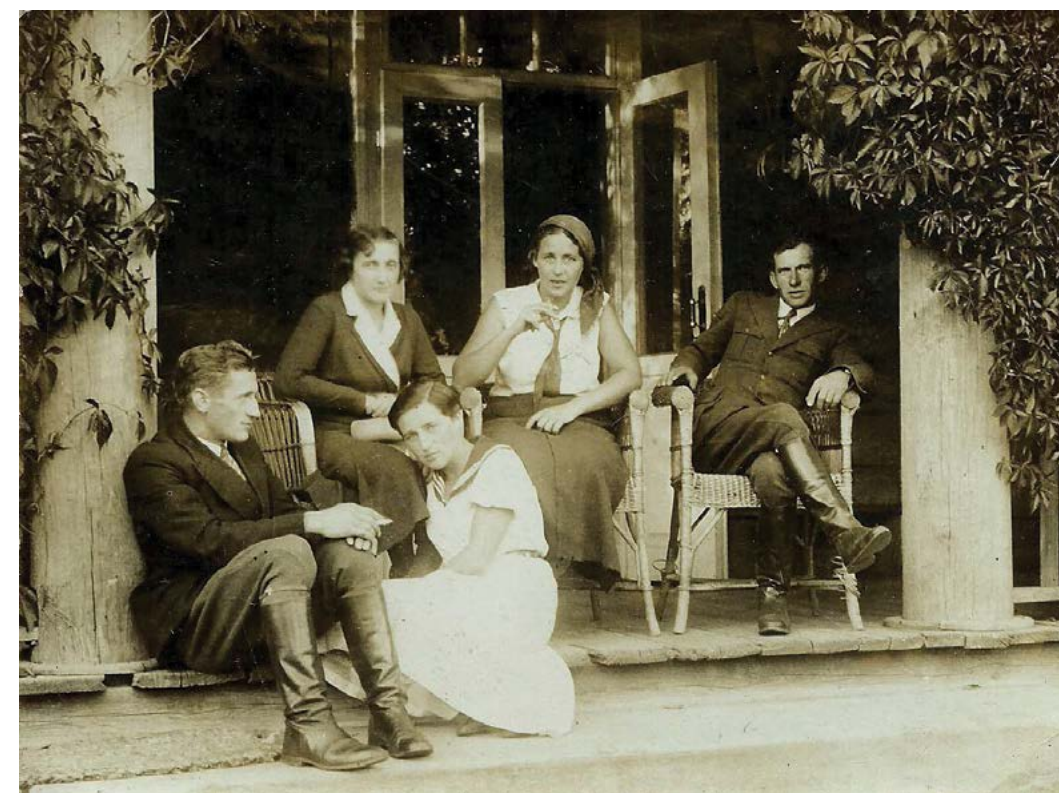


Pentowo



Na fotelach od prawej siedzą
Kazimierz i Helena Toczyłowscy
oraz NN. Na progu od lewej
Stefan i Danuta Toczyłowscy



Dojeżdża się tu aleją wysadzaną starymi lipami. Drewniany, parterowy dwór stoi na granicy gruntów Tykocina, na niewysokiej skarpie nad starorzeczem Narwi. Miejsce stało się znane w całym kraju, gdy w 2001 roku zdobyło miano Europejskiej Wioski Bocianiej. Dziesięć lat wcześniej przeszła tędy potężna wichura pozostawiając wiele połamanych drzew. Okazały się one atrakcyjnym siedliskiem dla ptaków, których z każdym rokiem przybywało. Sześć lat po wichurze było tu już dwanaście gniazd. W budowie odpowiednich platform dla ptaków pomogło Północnopodlaskie Towarzystwo Ochrony Ptaków i tak dawny zaścianek nieoczekiwanie stał się atrakcją dla ornitologów i turystów. Obecnie na niewielkiej przestrzeni znajduje się tutaj ponad trzydzieści bocianich

gniazd. Taka kolonia to rzadkość ornitologiczna. Niektóre gniazda są oddalone od siebie o zaledwie kilka metrów. Można oglądać je z dwunastometrowej wieży obserwacyjnej, z której rozciąga się rozległy widok na dolinę Narwi i nadrzeczne łąki.

Najstarsza wzmianka nazwy Pentowo, nadanej kolonii miejskiej Tykocina, pojawia się na mapie Kwatermistrzostwa Wojska Polskiego wydanej w 1843 roku. Istniejące obecnie założenie Pentowo, jako siedziby dworskiej, powstało się w początkach XIX wieku i należało do rodzin Toczyłowskich. Kolejno do: Jakuba, Andrzeja, Kazimierza, Stefana oraz Bogdana, który był właścicielem do 2015 roku.

– Mój mąż Bogdan Toczyłowski odszedł nagle, dwa lata temu – mówiła pani Henryka

Obok: Pentowo na polskiej mapie
WIG 1:100 000 z 1931 roku (arkusz
P36 S35 Tykocin)



Toczyłowska. – Nikt się tego nie spodziewał. W sobotę zasnął, a w środę zmarł. Dwa dni później przyjechała dziennikarka ze Stanów Zjednoczonych, z którą korespondował i był umówiony na spotkanie. Powiedziałam jej, że nic z tego nie będzie. A ona na to, ależ proszę pani, ja jestem umówiona! No, więc właśnie takie jest życie. Wielu rzeczy nie da się przewidzieć.

Rozmawialiśmy w przestronnym pokoju pełnym eklektycznych mebli. Z jednej strony stał rzeźbiony kredens, z drugiej podobna sekretera, nad nią wisiał zegar z 1875 roku. Duży kaflowy piec miał dekoracyjne zwieńczenie. Stół oświetlała ozdobna, kiedyś naftowa lampa, a stare zdjęcia i drzewo genealogiczne na ścianie przypominały o dawnych mieszkańcach.

– Nasz syn, Bogdan Łukasz jest tu już szóstym pokoleniem. Będzie kolejnym gospodarzem – mówiła dalej pani Henryka. – Ja

mieszkam tutaj od 1978 roku, od wyjścia za mąż – dodała.

Drewniany dwór zbudowany jest na fundamentach poprzedniego, wzniesionego w 1904 roku, a spalonego w 1915, gdy rodzina ewakuując się przed nadchodzącymi Niemcami udała się w głąb Rosji. Osiem lat później, po powrocie z Rosji w 1923 roku, Kazimierz Toczyłowski zastał spalone wszystkie budynki gospodarcze i dom. Sady i park były zdewastowane. Rozpoczęła się powolna odbudowa. Drewno kupione w Białowieży spławiono do Pentowa rzeką. Postawiono dwór podobny do poprzedniego, parterowy, z piętrowym kolumnowym ganikiem od strony podjazdu i od strony rzeki. Zbudowano nowe, również drewniane zabudowania gospodarcze, posadzono sad.

Kiedy w 1939 roku Rosjanie zajęli Białostoczną, Kazimierz Toczyłowski znowu się spakował, tym razem obawiając

się wywózki. Miał powody, w dwudziestoleciu międzywojennym był burmistrzem Tykocina, podobnie zresztą jak wcześniej jego ojciec. Do deportacji nie doszło, ale już w 1941 roku musiał dom opuścić, bo zajęli go Niemcy. Zamieszkał w budynku gospodarczym, zmarł w 1943 roku. W 1944 roku w Pentowie zakwaterował się sztab wojskowy Armii Czerwonej. Mimo tych wszystkich wydarzeń dom i budynki przetrwały. Majątek odziedziczył syn Stefan, który by uchronić go przed powojenną parcelacją, część przekazał bratu Ludomirowi.

– Gdy tu zamieszkałam żył jeszcze mój teść, Stefan Toczyłowski, jego brat i siostra – dzieci Kazimierza – wspominała pani Henryka. – Z teściem nie było łatwo rozmawiać o latach wojennych. Uparcie milczał, trochę bardziej rozmowny był stryj. Wiem, że teść w 1939 roku trafił do niewoli i udało mu się uciec z transportu do Rosji. Gdy wrócił do Białegostoku nogi miał tak spuchnięte, że trzeba było rozciąć buty. Przez pierwsze miesiące niemieckiej okupacji, zanim Niemcy zajęli Pentowo, ukrywał tutaj szesnaścioro żydowskich dzieci. W 1993 roku – kilkoro z nich, będących już oczywiście ludźmi w średnim wieku, przyjechało tutaj. Dwóch panów ze Stanów Zjednoczonych, jeden z Niemiec. Przyjechała też delegacja z ambasady Izraela. Gdy teściowi przyznano odznaczenie Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata, niestety już nie żył. Mąż go nie odebrał, uważał, że należała się ojcu, nie jemu.

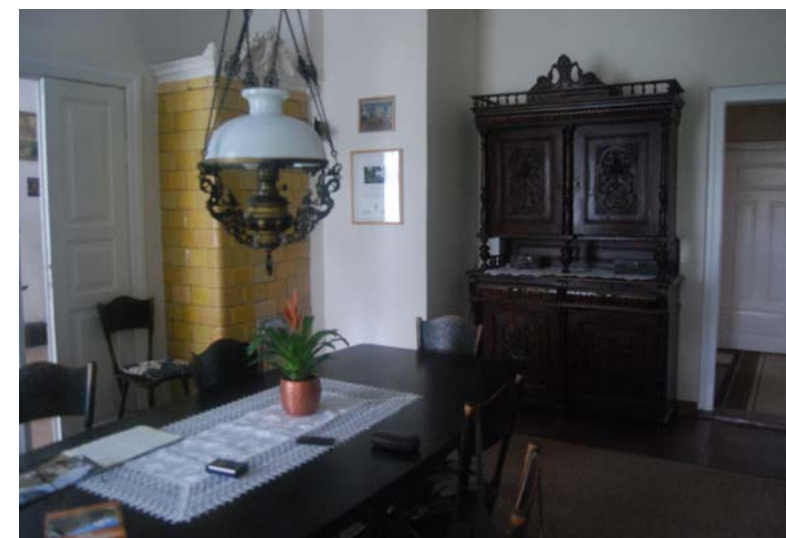
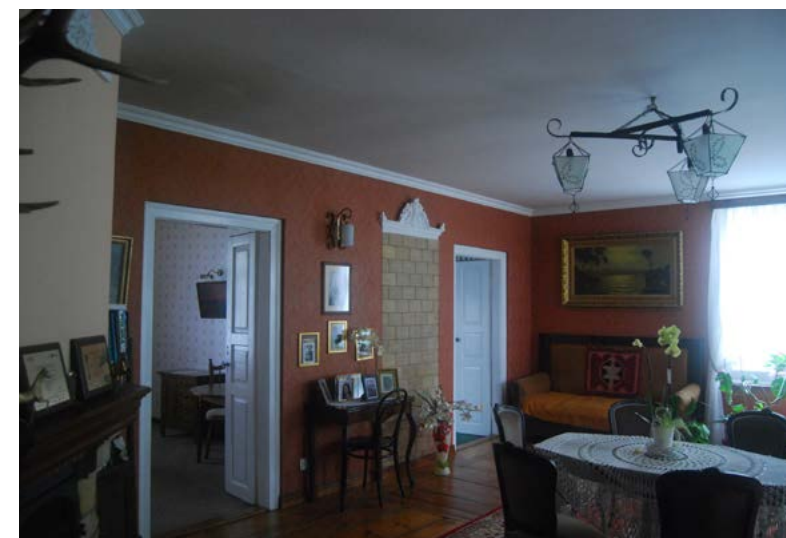
Rozmowę przerwał nam przyjazd kuriera. – To miejsce wygląda jak z bajki – mówił podając przesyłkę.

Trudno było się nie zgodzić. Obrośnięty dzikim winem drewniany dwór, drewniane budynki gospodarcze i wielka ilość bociaków nikogo nie mogą pozostawić obojętnym.

– Rodzeństwo teścia kształciło się, wyjeżdżało do miast – kontynuowała po chwili gospodyni. – Jego brat był lekarzem, siostra geodetką, obydwójce pracowali w Białymstoku. W młodości nie mogli

tu zostać, ale na emeryturze oboje wrócili. Dobrze ich pamiętam, to byli mądrzy i doświadczeni ludzie. Ja, prosta dziewczyna, wżeniłam się w szlachecką rodzinę. Wychowanie w mieście jest zupełnie inne niż na wsi, uczyłam się tutaj życia od początku. Patrzyłam na organizację dnia, kiedy jest pora na śniadanie, kiedy na obiad, kiedy na kolację. Uczyłam się troski o przedmioty, o pamiątki i przede wszystkim szacunku do starszych, do rodziny i jej potrzeb. Mój mąż skończył historię sztuki, ale zajął się

Wnętrze salonu oraz jadalni.
Nad stołem dawniej naftowa,
dziś elektryczna lampa





rolnictwem. Był jedynakiem i wiedział, że po studiach musi wrócić do Pentowa. Jego matka już nie żyła, ojciec robił się coraz starszy, podobnie ciotka i stryj. Potrzebne były ręce do pracy. A teść miał jeden kierunek: trzeba orać i siać, orać i siać! Poza tym hodował zwierzęta: krowy, świnie, kaczki, kury. Miał do tej pracy wielkie zamiłowanie, był pasjonatem rolnictwa, w tamtych latach przynosiło to jednak skromne dochody, ziemia tutaj jest słaba, piątej i szóstej klasy. Gdy teść zmarł w 1995 roku, mąż postanowił wprowadzić zmiany. Początkowo zajęli się hodowlą bydła, a z czasem hodowlą koni i agroturystyką. Oczkiem w głowie stały się zwłaszcza koniki polskie. Było to bardzo kosztowne, ale powiodło się. Dziś mamy konie różnych ras: araby, angliki, małopolaki, wielkopolaki, sokółki i konie śląskie. Głównie chodzą pod siodło, zaprzęga się je też do sań lub bryczki. Co roku biorą udział w inscenizacji bitwy o zamek tykociński, opisaną w „Trylogii” przez Sienkiewicza. Turyści przyjeżdżają do nas ze względu na konie i ptaki. Ziemi ornej już nie ma, są za to: łąki, pastwiska i las. W sumie pięćdziesiąt cztery hektary.

Obok: by ułatwić bocianom budowę gniazd zainstalowano odpowiednie platformy

Spytałam jeszcze o bociany. Ich kolonia lęgowa należy do największych w kraju.

– Na ten sukces złożyło się kilka czynników. Oczywiście warunki przyrodnicze, Pentowo leży pomiędzy Narwiańskim i Biebrzańskim Parkiem Narodowym. Dom stoi nad starorzeczami Narwi, wokół rozciągają się rozległe łąki, dużo jest terenów podmokłych, ptaki mają wspaniałe warunki. Ale nie udało by się to bez wielkiego zamiłowania mojego męża do tego miejsca i do przyrody. Nie akceptował komercji. Przecież mógł wziąć kredyt, założyć knajpę, tak jak wiele innych osób. To przynosi naprawdę poważne dochody. On chciał jednak zachować tu ciszę i ochronić przyrodnicze walory. Sprowadził ornitologów, dopomógł w rozwoju kolonii bocianów. Udało się wszystko harmonijnie pogodzić, gospodarstwo, hodowlę koni, bociany i spokojną agroturystykę. Podobne podejście do przyrody miały też inne osoby w tej rodzinie. Choćby Janusz Korbel brat cioteczny męża, architekt i znany ekolog.

W trakcie rozmowy przeszliśmy do salonu, również wypełnionego dawnymi meblami i pamiątkami. Na kominku stało

szereg nagród. Między innymi tabliczka z informacją, że Europejska Wieś Bociania w Pentowie jest zdobywcą drugiego miejsca w konkursie „Podlaska Marka Roku 2004”, a obok certyfikat z 2008 roku „ukończenia szkolenia w ramach projektu «Centrum Zielonych Technologii»”. W pobliżu wisiała fotografia Bogdana Toczyłowskiego z Januszem Korbelem, który również wychowywał się w Pentowie. Po latach współtworzył „Pracownię na rzecz Wszystkich Istot”, jedną z pierwszych po 1989 roku pozarządowych organizacji ekologicznych. W latach 90. zainicjował wydawanie miesięcznika „Dzikię życie”, promującego głęboką ekologię i przez lata był jego redaktorem naczelnym. Obaj bracia zmarli nagle w tym samym, 2015 roku.

– Podobnych dworów do naszego w pobliżu już prawie nie ma – zauważyła gospodyni. – Albo zostały po wojnie rozparcelowane, albo z innych powodów przepadły. Parę lat temu byłam na zjeździe dawnych właścicieli okolicznych majątków, których było tu kiedyś wiele: Dobki, Lipniki, Stelmachowo, Szelegówka... Spotkanie odbywało się w Tykocinie, na plebanii. Z każdej strony słyszałam tylko: ja miałem, ja miałam... Nic z tego nie zostało, wszystko poszło na zmarnowanie. A oni przecież też mieli dzieci, też je wychowywali. Winny był nie tylko poprzedni system. Wszyscy wówczas pędzili do miasta, uważali, że na wsi nie ma perspektyw i wielu nie zaważyło o swoje. Pentowo przetrwało dzięki wielkiemu zamiłowaniu i wielu wyrzeczeniom najpierw teścia, a potem męża. Na pogrzebie pani z Ministerstwa Kultury powiedziała, że Bogdan Toczyłowski to był anioł chodzący po ziemi... Ale wszystko mija, czas ucieka, goni do przodu. Dzieci urosły, życie przeleciało nie wiadomo kiedy. A tyle jeszcze mieliśmy ze sobą do porozmawiania... Trudno, wola Twoja Panie. Mam nadzieję, że dokończymy te rozmowy kiedyś, gdy dostanę się tam, do męża. ■

